

Życie codzienne osadników wojskowych na Kresach Wschodnich II RP

Osady wojskowe stanowiły niewielkie osiedla zamieszkałe przez średnio 12 osadników na jedną kolonię, przy czym szacunkowe dane mówią, że wszystkich takich kolonii na Kresach Wschodnich było około 700. W większości osady były zlokalizowane z dala od ośrodków administracyjnych oraz handlowych, a trudności ich mieszkańców w kontaktach z większymi miejscowościami – choćby powiatowymi – potęgowała fatalna infrastruktura drogowa, kłopoty komunikacyjne (połączenia autobusowe osad z miastem należały do rzadkości) oraz, nierzadko, niesprzyjająca aura (intensywne letnie deszcze, bądź częste jesienne opady powodowały nieprzejezdność słabych dróg). Osadnicy byli więc, w pewnym sensie, skazani na egzystencję we własnym środowisku, na rozwijanie życia społecznego we własnym zakresie, podejmowanie różnorodnych inicjatyw oraz zacieśnianie więzi między swoimi koloniami. Siłą rzeczy musieli też współpracować z zastanymi sąsiadami. Dawali się im poznać jako wiejscy nauczyciele, pisarze gminni, przede wszystkim zaś sprawni gospodarze. I chociaż – szczególnie na początku lat dwudziestych, gdy osady dopiero się organizowały, a czas ich mieszkańców pochłaniała niemal wyłączne praca – realizacja jakichkolwiek pomysłów osadników, nie tylko w sprawach gospodarczych, ale choćby w zakresie wzbogacenia życia kulturalnego, wydawała się niezwykle trudna do przeprowadzenia, to jednak istnieją przykłady na powstawanie wysiłkiem wspólnot osadniczych np. szkół, bibliotek, czy teatrów amatorskich, organizowanych nawet krótko po osiedleniu się osadników. Takie właśnie działania w 1924 roku przeprowadził np. komitet oświatowy zawiązany w osadzie Pruski na Wołyniu. Potrzeba utworzenia i działania szkół czy stowarzyszeń, ośrodków kultury bądź oświaty, okazywała się bardzo istotnym czynnikiem determinującym integrację środowiska osadniczego,

powodującym nawiązywanie współpracy między osadnikami z różnych kolonii i podejmowanie wspólnych zadań.

Ważną kwestią dla budowania wspólnej tożsamości i jedności osadników pozostawała ich osobista, dość podobna historia, związana z przybyciem na Kresy. W największym stopniu dotyczyło to wspólnej przeszłości wojskowej. Osadnicy lubili zresztą często się do niej odwoływać. Świadczyło o tym już samo nadawanie nazw koloniom, bo chociaż wywodziły się one nierzadko od dawnych nazw miejscowości, w których osady powstawały, to jednak z czasem osady zaczęły przybierać nazwy pochodzące od wojskowych doświadczeń kolonistów. Najlepszym przykładem jest tu Wołyń, gdzie np. na terenie niegdysiejszego rosyjskiego poligonu ćwiczebnego wojsk carskich w Szubkowie, cztery osady przyjęły nazwy związane z formacjami, w jakich służyli tamtejsi osadnicy. Były to: Osada Krechowiecka – od Pułku Ułanów Krechowieckich, Osada Jazłowiecka – od Pułku Ułanów Jazłowieckich, Bajonówka – od polskiej jednostki utworzonej podczas I wojny światowej we Francji w miejscowości Bayonne (jej żołnierzy zwano bajończykami) oraz osada Hallerowo – od dowódcy żołnierzy utworzonej również we Francji „Błękitnej Armii” gen. Józefa Hallera. Do nazw osad wprowadzano również nazwiska znakomitych Polaków. W wołyńskim powiecie dubieńskim istniała np. osada Wola Piłsudskiego. Co ważne, umiłowanie dla Marszałka było wśród osadników powszechne.

Istotny czynnik dla integracji środowiska osadniczego – początkowo w lokalnym wymiarze tj. w obrębie sąsiednich osad – stanowił też fakt, że kolonie osadnicze były w wielu miejscach swoistymi „wypami” wśród liczniejszych wsi zamieszkałych przez mniejszości narodowe II RP, które na Kresach, w lokalnym wymiarze, mniejszościami wcale nie były. Stało się więc naturalne, że polscy osadnicy mocniej muszą być związani ze sobą nawzajem, aniżeli z sąsiadami Ukraińcami, czy Białorusinami, jakkolwiek autochtoni zapraszali niekiedy osadników, u których pracowali na swoje uroczystości rodzinne, a z rzadka nawet wspólnie obchodzono uroczystości religijne, czy świętowano inne okazje np. dożynki.

Mimo to, trudno mówić w tym przypadku o jakimś specjalnym zacieśnianiu wzajemnych relacji, spotkaniach towarzyskich, bo życie osadników toczyło się własnym, osobnym rytmem. Poza tym osadników wojskowych wyróżniał od miejscowej ludności poziom wykształcenia, który także wpływał w pewnym stopniu na tworzenie przez nich samej wspólnoty, nieco innej w swojej charakterystyce od wspólnot, jakie tworzyła miejscowa ludność. Kazimierz Kasiński, dyrektor departamentu Ministerstwa Reform Rolniczych, po inspekcji na osadach tak przedstawiał w 1923 roku środowisko osadnicze: *Osadnicy wojskowi w znacznej większości składają się z byłych oficerów, a więc bezwzględnie ludzi piśmiennych [w odróżnieniu od miejscowych, wśród których nie brakowało analfabetów], często nawet inteligentów. W związku z tym oraz dzięki swej przeszłości wojskowej w szeregach Armii, która walczyła za samo istnienie Państwa i rozszerzała jego granice, osadnicy wojskowi mają również większe uświadomienie i poczucie narodowe i państwowe.*

Osadnicy wojskowi, decydując się na osiedlenie na Kresach Wschodnich, przyjmowali na siebie brzemię ciężkiej pracy. Praca ta wypełniała ich życie codzienne w największym stopniu, szczególnie w pierwszych latach po osiedleniu, gdy objęte w posiadanie działki należało zagospodarować niemal od początku. Osadnik nazwiskiem Kryński z Zabuża w województwie poleskim wspominał: *Po dwóch latach mieszkania w ziemiance, w 1923 roku dostałem drewno na budowę domu – 70 m. sześciennych. Po jego zbudowaniu, z resztek drewna pobudowałem stodołę i chlewy, a z czasem stajnię i wozownię, na które drewno miałem z własnego lasu, choć część trzeba było dokupić. Drugą część działki uprawiałem – bardzo ciężka to była praca, szczególnie przy karczowaniu. Rosła pszenica i żyto, kartofle, buraki, jarzyny. W 1926 roku przysła komisja z Brześcia nad Bugiem sprawdzić jak idzie gospodarka. Przyszli, pooglądali wszystko, zjedli obiad, poszli spać do stodoły na siano. Ale potem komisarz ziemski zakwalifikował moją gospodarkę jako dostatecznie dobrze prowadzoną. Na osadach rosły więc z czasem budynki mieszkalne i gospodarcze (początkowo drewniane, później coraz*

częściej, choć wcale nie powszechnie – murowane), obok domostw powstawały ogrody kwiatowe i warzywne, sady, a na najbardziej rozwiniętym pod tym względem Wołyniu spotykało się również spichlerze, przechowalnie na owoce, czy suszarnie na uprawiany tam chmiel. W biedniejszych regionach, np. na Wileńszczyźnie, nie brakowało jednak skromnych jednoizbowych chałup krytych słomą, którym w gospodarstwie towarzyszyły usytuowane nierzadko w jednym budynku: stodoła, obora i stajnia. Z upływem czasu, w latach trzydziestych, w osadach wojskowych dominowały już gospodarstwa zbliżone raczej do standardów wołyńskich. Osadnicy najmowali już wówczas do pomocy jednego, dwóch robotników, czasami też pomoc domową dla żony. Powszechnie korzystano z pomocy robotników sezonowych, głównie Ukraińców czy Białorusinów, którym wypłacano gratyfikacje. W pracach codziennych uczestniczyły też dzieci osadników pomagające rodzicom przy wypasie krów czy żniwach. Anna Bielińska, żona osadnika z Reymontowa na Wołyniu wspominała: *Po zwiezieniu zboża do stodoły czy na podwórko wynajmowaliśmy maszynę do młócenia. Początkowo były ręczne, potem naciągane końmi w kieracie, a nawet już i parowe. Na żniwa wynajmowaliśmy kosiarzy. Mąż zwykle jechał do wsi i przywoził dwa wozy młodych roześmianych ludzi, którym oprócz zapłaty dawało się zawsze jedzenie.*

Ponieważ osadnikami byli zazwyczaj ludzie młodzi, pokolenie trzydziestolatków, wierzących optymistycznie, że w zasadzie cała ich przyszłość zależy od nakładu pracy, jaki włożą w swoją ziemię, tempo rozwoju osad było duże. W latach dwudziestych brakowało narzędzi i maszyn, ale i te problemy osadnicy potrafili pokonać dobrą organizacją pracy, np. poprzez tworzenie swoistych spółek maszynowych, poprzez zwykłą sąsiedzką pomoc, czy też nierzadkie przypadki, w których jeden z osadników nabywał kosztowną maszynę i wynajmował ją innym. Poza tym pracy osadników towarzyszyła inwencja – wymuszana niekiedy ogólną sytuacją, np. koniunkturą, ale też choćby groźbą bankructwa – powodująca, że koloniści inicjowali na swojej ziemi nowe uprawy, wykraczające

poza dotychczas najpopularniejsze, jak choćby uprawa tytoniu na Wołyniu. Dla miejscowego chłopstwa stanowiło to niemałe zaskoczenie, zwłaszcza że osadnicy często nie mieli przed osiedleniem na Kresach żadnych doświadczeń rolniczych. Jeden z reporterów, przygotowujących w 1937 roku artykuł (m.in. w oparciu o relacje kolonistów) dotyczący ich pracy codziennej, usłyszał: *Czy pan da wiarę, że nasi nauczycieli ich [ukraińskich chłopów] siać seradę, podobnie jak osadnicy w okolicach Krewa na Wileńszczyźnie nauczyli chłopów kosić zboże kosą, a nie sierpem? Nie można na Wołyniu rozpocząć nic nowego, nic twórczego, aby w ten czy inny sposób nie potknąć się o osadników.* Inny reporter pisał z kolei, że na Polesiu olbrzymim osiągnięciem osadników było przekonanie miejscowych chłopów do stosowania nawozów sztucznych. Praca była więc na koloniach zorganizowana w sposób wyjątkowy w porównaniu z resztą wsi kresowych. Nawet wygląd osadniczych pól różnił się od wyglądu pól gospodarstw chłopskich – w osadach wojskowych nie widywało się przeważnie gęstej szachownicy pól, gdyż każda działka osadnicza miała swoje pole uprawne w jednym kawałku, inaczej niż na pozostałych gospodarstwach.

Kulturę rolniczą osadników wzmocniały organizowane bardzo często kółka rolnicze, w których dyskutowano nad problemami związanymi z uprawą i omawiano możliwie najefektywniejsze sposoby ich rozwiązywania, doksztalcano się w dziedzinie prowadzenia gospodarstwa rolniczego, zapoznawano się z nowinkami z tej dziedziny. Powszechne były również koła gospodyń wiejskich, gdzie żony osadników omawiały sprawy dotyczące np. hodowli drobiu, mleczarstwa, piekarnictwa i wszelkich zagadnień z zakresu prac wypełniających ich codzienne życie, stanowiących ich stałe zajęcia. Takie inicjatywy nie tylko wzmocniały poczucie wspólnoty i przynosiły wymierne korzyści w postaci coraz efektywniejszej gospodarki, ale też zwyczajnie pozwalały na spotkania międzysąsiedzkie, na których rodziły się kolejne pomysły. Z czasem decydowano się na realizację nawet bardzo trudnych inicjatyw. Wśród urzeczywistnianych na osadach

pomysłów znajdowały się więc: tworzenie spółdzielni osadniczych (handlowych, kredytowych, przetwórczych, czy mleczarskich), zorganizowanie sklepu służącego lokalnej społeczności oraz budowę szkoły lub nawet kościoła. Nad całością takich prac czuwały funkcjonujące powszechnie zarządy osad, które jako lokalne samorządy także stanowiły istotny element dla życia codziennego i społecznego w osadach. Zwłaszcza mężczyźni bardzo angażowali się w taką działalność, nie stronili zresztą od udziału w życiu publicznym w ogóle (np. w samorządzie terytorialnym). Stanisław Świercz z Osady Puzieniewicze w województwie nowogrodzkim wspominał: *Osadnicy organizowali się po kilu w spółki, sprowadzali maszyny rolnicze, jak młockarnie, brony, żniwiarki. Założona też została spółka mleczarska wyrabiająca sery. Odsyłano je koleją do Warszawy z dobrym zyskiem, bo bez pośredników.* Przy realizacji danej inicjatywy zaciągano kredyty, organizowano zbiórki pieniędzy, podejmowano indywidualne zobowiązania, chociażby w gromadzeniu materiałów budowlanych oraz powoływano komitet odpowiedzialny za koordynację prac, np. gdy decydowano się na budowę domu ludowego, powoływano Towarzystwo Domu Ludowego. Naturalnie nie w każdym województwie stopień rozwoju osad był taki sam, nie każda osada należała do prężnych, ale jednak coraz lepsze z czasem zabudowania, coraz większy inwentarz, coraz wyższa stopa życiowa w koloniach sprawiały, że życie codzienne osadników ulegało ogólnemu polepszeniu, a poza pracą wypełniać je zaczęły również inne czynności.

Mocno wrastające w rzeczywistość Kresów Wschodnich środowisko osadników wojskowych musiało z czasem wykreować własny model życia, w którym do wartości jakie przynieśli ze sobą osadnicy dochodziły lokalne kresowe zwyczaje. Sprzyjał temu temperament osadników, którzy lubili towarzyskie spotkania, wspólne obchodzenie świąt i uczestnictwo w lokalnych uroczystościach. Osadnicy ochoczo brali udział chociażby w defiladach organizowanych z okazji świąt narodowych (najczęściej w pobliskich miasteczkach lub miastach powiatowych), w uroczystościach poświęcania jakiejś nowej budowli na osadzie,

towarzyszących temu zabawach tanecznych, czy występach artystycznych przygotowanych przez żony osadników. Okazję do spotkań towarzyskich oraz wspólnej zabawy stanowiły też dożynki, występy teatralne oraz niekiedy pokazy filmów objazdowego kina. W czerwcu 1929 roku osady wojskowe na Wołyniu, Nowogródczyźnie i Grodzieńszczyźnie, a w 1930 r. na Wileńszczyźnie, odwiedził prezydent Ignacy Mościcki. Wcześniej i później również nie brakowało takich wizyt – wśród osadników bywał Józef Piłsudski (np. w 1921 i 1924 roku odwiedził osadę Rokitno w powiecie grodzieńskim), czy gen. Józef Haller (który przyjechał do Hallerowa). To także stanowiło okazję do wspólnego świętowania. Cytowany wcześniej Stanisław Świercz wspominał: *Zabawny wypadek miał miejsce podczas wizyty marszałka Piłsudskiego w Nowogródku. Ku konsternacji dygnitarzy wojewódzkich, zebrani osadnicy wyprzęgli konie z jego wozu, uprzęż nałożyli na siebie i wieźli go ze śpiewem i okrzykami przy widocznym zadowoleniu Marszałka. W ten sposób witali i czcili swojego „Dziadka”.*

Wspólne spotkania osadników dawały też możliwość wysłuchania wiadomości ze świata. W osadach bowiem rzadkością były odbiorniki radiowe, toteż wszelkie informacje przychodziły z dużym opóźnieniem. Wiadomości czerpano głównie z gazet, które przywożono z miasteczek, prenumerowanie było bardzo sporadyczne, ale lekturę nadrabiano w domach ludowych, gdzie mieściły się zazwyczaj także biblioteki. W domach, gdzie osadnicy dysponowali „żelaznym” polskim zbiorem klasyków, np. „Trylogią” Sienkiewicza, czytano na głos długie ich fragmenty dla całej rodziny – najczęściej w zimowe wieczory, gdy pozwalał na to czas. Jan Salomonowicz z osady Reymontowicze wspominał: *W 1939 roku było już na osadzie pięć radioodbiorników na akumulator, drugie tyle detektorów na słuchawki. Prawie w każdym domu był „Rycerz Niepokalanej” – miesięczne pismo katolickie i „Mały Rycerzyk” dla dzieci. Wśród osadników istniały różne poglądy polityczne i tak jedni czytali „Ilustrowany Kurier Codzienny”, inni „Mały dziennik” lub „Orędownika”. W domach ludowych lokalizowano także szkoły.*

W dzień odbywały się tam zajęcia dla dzieci (tzn. nauka ale też np. śpiewy w zakładanych często chórkach), a wieczorami organizowano spotkania dorosłych, którzy rozmawiali o polityce, grywali w karty, mogli dokonać zakupów w działającym w budynku domu ludowego sklepie, albo załatwić sprawy pocztowe, gdyż i urzędy pocztowe nierzadko mieściły się w domach ludowych, które bywały ponadto siedzibą dla zarządu osady, czy miejscem organizowania ważnych akademii często związanych ze świętami państwowymi, jak 3 Maja, czy 11 Listopada. W domach ludowych nie brakowało ponadto różnych innych spotkań i imprez rozrywkowych. Jeśli osada nie dysponowała domem ludowym, życie towarzyskie kolonii było siłą rzeczy mniej urozmaicone, a spotkania odbywały się w domach prywatnych, jednak już korzystanie z bibliotek musiało wiązać się z wyprawą do innej osady, bądź większej miejscowości. Irena Orzeł z rodziny osadniczej zamieszkałej w Stawach na Polesiu tak wspominała: *Do szkoły dzieci osadników chodziły do pobliskiej wsi zamieszkałej przez Białorusinów i oddalonej od osady o około dwa kilometry. Do gminy Wolczyn, odległej o pięć kilometrów jeździło się w celu załatwienia wszelkich spraw gospodarczych i urzędowych jak podatki, zaświadczenia i inne. Na jarmarki jeździliśmy do Janowa Podlaskiego (i wiązało się to z przeprawą promową przez Bug), albo Wysocka, które leżało 15 km od osady. O życiu kulturalnym mogliśmy tylko marzyć, nie licząc zebrania koła osadników, które istniało w Stawach. Zebrania odbywały się w prywatnych domach osadników. Prezes koła pisał zawiadomienie, gdzie odbędzie się zebranie, podawał datę i godzinę i takie zawiadomienie trzeba było podpisać i zanieść do najbliższego sąsiada.*

Koła gospodyń wiejskich były niewiele mniej istotne niż domy ludowe, skupiały jednak naturalnie żony osadników. Nie wszystkie one znały się na gospodarce, dlatego w kołach gospodyń przede wszystkim odbywały się zajęcia dokształcające je w tym zakresie. Organizowano m.in. kursy gotowania, pieczenia, kroju i szycia. Poza tym, jednym z ważniejszych elementów spotkań osadniczek – jak powszechnie nazywano żony kolonistów – było wychowanie obywatelskie dzieci. Sprawy wykształcenia młodego pokolenia

i troska o dzieci były pochodną faktu, że osadnicy stanowili środowisko niezwykle patriotyczne, związane olbrzymim szacunkiem i emocjonalnie bardzo związane z Józefem Piłsudskim. Dość podkreślić, że po śmierci Marszałka w 1935 roku, Związek Osadników Wojskowych uchwalił, aby każda osada, rokrocznie 12 maja wieczorem, organizowała spotkanie mieszkańców, na którym zostanie oddany hołd zmarłemu. Niemniej wykształcenie młodego pokolenia stanowiło dla osadników duży problem. Przeciętnie w rodzinach osadniczych było troje, czworo dzieci, ale sytuacja ekonomiczna osadników nie pozwalała – zwłaszcza na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, gdy znaczna liczba dzieci osadniczych osiągnęła wiek szkolny, a we znaki dawał się ówczesny kryzys ekonomiczny – by rzetelnie wykształcić każde z nich. Sytuację utrudniała dodatkowo słaba sieć placówek oświatowych na Kresach. Jan Kulik z Osady Krehowieckiej wspominał: *Pierwsza szkoła była otwarta u sąsiada w domu, w jednym pokoju. Chodziła tam początkowo czwórka, piątka dzieci. Dopiero w 1930 roku została otwarta nowa szkoła w domu ludowym.* Problem wykształcenia młodzieży osadniczej dostrzegał też Związek Osadników, pragnący kontynuacji przez młode pokolenie idei osadnictwa wojskowego w postaci ich przyszłych starań o rozwój gospodarczy i kulturalny Kresów Wschodnich. Związek aktywnie włączył się w organizację szkół w osadach, gdzie często własnym wysiłkiem tworzone placówki prywatne, które z czasem uzyskiwały prawa państwowych szkół publicznych. Ale mimo dużego wysiłku nie zawsze udawało się osadnikom osiągnąć cel i przeprowadzić naukę dzieci w wymiarze, jaki byłby satysfakcjonujący. W powiecie wilejskim na Wileńszczyźnie, tuż przed wybuchem II wojny, aż 75% dzieci skończyło edukację na czwartej, piątej klasie szkoły powszechnej. Przyznać jednak należy, że było to też spowodowane faktem konieczności pomagania rodzicom w gospodarstwach, gdyż w czwartej, piątej klasie dzieci osiągały wiek, który pozwalał im wykonywać pewne niezbędne prace, a niezamożni rodzice decydowali się na takie rozwiązanie właśnie kosztem wykształcenia swoich latorośli. Z czasem jednak problem szkolnictwa systematycznie starano się rozwiązywać, organizując z pomocą

Związku Osadników tzw. ogniska, czyli bursy dla młodzieży osadniczej działające w większych miastach, koedukacyjne kursy społeczne dla kresowej młodzieży wiejskiej (nie tylko osadniczej) oraz tworząc nowe gimnazja. Pierwsze osadnicze gimnazjum otwarto prawdopodobnie w 1937 roku w Równem. Rozwój szkolnictwa polskiego w ogóle, zarazem osiągnięcia osadników w zakresie poprawy warunków edukacji dzieci i młodzieży sprawiły, że wykształcenie nowego pokolenia osadniczego można uznać za dobre. Poprzez aktywne prace w tej dziedzinie realizowano główny, dalekosiężny cel – plan przygotowywania młodzieży do pracy na kresowych gospodarstwach osadniczych, ale również w administracji, oświacie i w wolnych zawodach, czyli w istocie generalne przygotowanie młodej kresowej kadry do pracy.

Do ważnych aspektów życia codziennego osadników należały sprawy duchowe, jednak samo życie religijne – z przyczyn bardzo prozaicznych, mianowicie z braku kościołów i kaplic na osadach – było dość słabo rozwinięte. Wiktor Staniaszek z Chylina na Polesiu wspominał: *Chrzty oraz pierwsza komunia święta dla dzieci odbywały się nieregularnie, raz na około dwa lata, i były wielkim przeżyciem dla niemal całej osady. Wówczas większość osadników wyjeżdżała wraz z rodzinami własnym transportem do kościoła już dzień wcześniej, by godnie spełnić obowiązki chrześcijańskie, ponieważ los i warunki nie pozwalały na bardziej regularne ich wypełnianie.* Uczestnictwo w mszy świętej wiązało się z wyprawą rodziny do miasteczka, ale w wielu osadach budowano krzyże, przy których odprawiano wspólne modlitwy. Wznoszenie kościołów nie należało w środowisku osadniczym do priorytetów, ponieważ istotniejszą inicjatywą okazywały się domy ludowe, albo szkoły. Mimo to świątynie powstawały, np. na Wołyniu osadnicy do 1939 roku wzniesli 12 kościołów i kaplic. W maju tego roku do kościoła na Karłowszczyźnie, zbudowanego dla wcześniej wymienionych osad: Krechowickiej, Jazłowieckiej, Bajonówki, Hallerowa oraz dla Zalesia, sprowadzono kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, podarowaną przez oo. Paulinów. Uroczystość była powiązana z wielką wołyńską pielgrzymką na Jasną Górę i dużą celebrą

z udziałem biskupa polowego Józefa Gawliny. Najważniejsze były jednak święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Stałym elementem obrazu życia osadników po nabożeństwach, głównie wielkanocnych, były tradycyjne wyścigi pojazdów wracających z kościołów do osad – był to przejaw fantazji i temperamentu osadników. Cytowana wcześniej Anna Bielińska, żona osadnika z Reymontowa na Wołyniu, wspominała: *Wszyscy zawsze czekali na święta, dzieci na choinkę, a dorośli na odpoczynek i spotkania z rodziną. Wigilia była uroczysta, a potem kołędowanie, pasterka, spotkania ze znajomymi, powrót do domu, często z przygodami, bo jak towarzystwo było w dobrych humorach i popędzało konie, to często zarzucało sańmi, a bractwo leciało wśród śmiechów w śnieg.*

Pełne trudności, wypełnione pracą życie codzienne osadników charakteryzowało się sporym urozmaiceniem, biorąc pod uwagę warunki egzystencji i ciężkie początki zasiedlania osad. Entuzjazm, przedsiębiorczość, towarzyskość osadników były integralną częścią ich codzienności i przydawały kolorytu Kresom Wschodnim, wzbogacały rozwój kresowej kultury i gospodarki. Wiele wspaniałych opowieści o życiu codziennym osadników odnaleźć można we wspomnieniach z tamtych lat – diariuszach, relacjach. Wiele mówią o tym również zachowane fotografie. Z całą pewnością Kresy bez osadnictwa byłyby inne, uboższe. Dostrzegli to nawet początkowi przeciwnicy akcji kolonizacyjnej, spośród których znaczna część, pod koniec lat trzydziestych, z uznaniem wypowiadała się o osiągnięciach osadniczych i wartości, jaką stanowiło dla Polski środowisko osadników.*

* Tekst powstał w oparciu o opracowanie książkowe: J. Stobniak-Smogorzewska, *Kresowe osadnictwo wojskowe 1920 – 1945*, Warszawa 2003